

UCIEKAJ,  
KRO LIKU  
JOHN  
UPDIKE

PRZEKŁAD ARIADNA  
DEM KOWS KA-BOHDZIEWICZ

POSŁOWIE  
JERZY JARNIEWICZ

PAŃSTWOWY  
INSTYTUT WYDAWNICZY

Chłopcy grają w koszykówkę, zawiesiwszy tablicę z koszem na słupie telefonicznym. Nogi, krzyki. Skrzyp i chrzęst gumowych podeszew na żwirze zaułka zdaje się wyrzucać chłopięce głosy wysoko w wilgotne marcowe powietrze błękitniejące nad drutami. Z głębi uliczki nadchodzi Królik Angstrom w swojej dwurzędówce, przystaje i patrzy, chociaż ma dwadzieścia sześć lat i metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Królik, a taki wysoki? Lecz owal twarzy, bladeść niebieskich źrenic i nerwowy tik krótkiego nosa, gdy wtyka do ust papierosa, częściowo tłumaczą to przezwisko nadane mu wtedy, kiedy też był chłopcem. Stoi i myśli, jak tych dzieci wciąż przybywa, jak osaczają człowieka zewsząd.

Onieśmiela to chłopców, że tak stoi. Oczy zezują w jego stronę. Tu się gra dla siebie, nie dla ludzi, nie dla takich, co chodzą po mieście w dwurzędowym garniturze koloru kakao. W ogóle śmieszny im się wydaje dorosły facet idący ulicą. A gdzie jego samochód? Papieros w ustach jeszcze pogarsza sprawę. Może to jeden z tych, co dają papierosy albo forszę, żeby pójść z nimi za fabrykę lodu? Słyszeli o podobnych rzeczach, ale nie bardzo się boją: ich jest sześciu, on jeden.

Piłka, odbita od tablicy, leci nad głowami całej szóstki i ląduje u jego stóp. Łapie ją z krótkiego kozła z szybkością, która chłopców zaskakuje. Patrzą w milczeniu, gdy mrużąc jedno oko, celuje przez błękitny obłok papierosowego dymu – pociemniała nagle sylwetka, jak dymiący komin na tle wiosennego popołudniowego słońca; z rozważą rozstawia nogi, nerwowo obraca piłkę przy piersi – jedna biała rozczapierzona dłoń na wierzchu, druga pod spodem cierpliwie potrząsa piłką, zdaje się wymierzać trasę jej lotu w powietrzu. Paznokcie ma zarośnięte skórką. Nagle piłka jakby ślizgiem podjeżdża w górę po prawej kłapie jego marynarki i w momencie gdy Królik ugina kolana, odrywa się od jego ramienia; wydaje się, że wcale nie trafi do celu, bo choć rzucona pod właściwym kątem, to jednak nie leci w stronę tablicy. Nie tam została skierowana. Przelatuje przez sam środek obręczy, muskając siatkę z wytwornym szeptem.

– Hej! – krzyczy Królik triumfalnie.

– Szczęście – mówi jeden z chłopców.

– Sztuka – odpowiada Królik i pyta: – Czy mogę pograć?

Zamiast odpowiedzi zgłupiałe, zaskoczone spojrzenia. Królik zdejmuje marynarkę i starannie złożoną kładzie na czystej pokrywie pojemnika na śmieci. Za jego plecami znów zaczyna się szamotanina. Wkracza w sam środek i z dwóch słabych, dziecięcych dłoni o niedomytych kostkach wyłuskuje piłkę, już ją ma. I oto przenika go całego znane z dawnych czasów uczucie, że jest sprężysty jak napięty rzemień, u ramion rosną skrzydła. Jest tak, jak gdyby sięgnął wstecz

poprzez lata i dotknął tej sprężystości ręką. Ramiona same się unoszą i gumowa piłka już płynie od czubka jego głowy w stronę kosza. Taki jest pewny siebie, że przymyka oczy, gdy piłka pada na ziemię, i tylko zastanawia się przez sekundę, czy istotnie przeszła przez obręcz, nie musnąwszy siatki.

– No jak? Z kim gram? – pyta.

Wymiana miejsc bez słów i dwaj chłopcy zostają wysłani na jego stronę. Mają przeciw sobie pozostałych czterech. Chociaż Królik od razu ogranicza swoje szanse, trzymając się w odległości około trzech metrów od kosza, to jednak siły pozostają nierówne, nikt nie zwraca sobie głowy liczeniem punktów. Pełne niechęci milczenie przygnębia Królika. Chłopcy porozumiewają się monosylabami, lecz w jego stronę żaden nie waży się rzucić słowa. Czuje ich obecność na wysokości swoich kolan, płaczą mu się pod nogami, wściekli, rozjuszeni, próbują podstawić mu nogę, ale każdy z nich trzyma język za zębami. Królik nie chce takiego szacunku, chce im powiedzieć, że starzec się to nic nadzwyczajnego, zwykła sprawa. Po dziesięciu minutach następny zawodnik przechodzi na drugą stronę i Królik Angstrom z jednym chłopcem mają przeciw sobie aż pięciu. Ten jeden to jeszcze malec, jeszcze nieśmiały, ale już w pełni panujący nad sobą, najlepszy z całej szóstki; ma na głowie włóczkową czapkę z dużym zielonym pomponem, zsuniętą na uszy – nawet na brwi – w której wygląda jak kretyn. Wrodzony talent. Widać to po jego instynktownym, swobodnym balansowaniu, po tym, że umie odczekać chwilę, zanim ruszy. Jeżeli dopisze mu szczęście, to

z biegiem czasu stanie się w szkole średniej świetnym zawodnikiem. Królik wie, jak to jest. Najpierw powolna wspinaczka w niższych klasach, a potem człowiek jest najlepszy i wszyscy mu biją brawo. Nie widzisz dobrze, bo pot spływa ci z czoła, ale słyszysz, że jest głośno dokoła twojej osoby, i to cię niesie, aż potem – nie żeby od razu o tobie zapomniano, nie to, po prostu wypadłeś z gry, i dobrze ci z tym, masz spokój, czujesz się wolny. Nie istniejesz, rozpląnąłeś się w tłumie, ale wciąż idziesz do góry, aż staniesz się dla takich chłopców częścią tego nieba dorosłych, co wisi nad nimi w mieście, i nie wiadomo dlaczego któregoś dnia lądujesz wśród nich, jakbyś spadł z chmury. Nie zapomnieli o nim; gorzej, nigdy o nim nie słyszeli. A przecież Królik znany był swego czasu w całym okręgu. W przedostatniej klasie liceum ustanowił rekord ligi B, który następnego roku sam pobił, ustanawiając nowy, pobity dopiero w cztery lata później, dokładnie przed czterema laty.

Trafia, rzucając piłkę jedną ręką, obiema, spod łokcia, mocno wsparty na nogach, z obrotu, z wysko-ku i z miejsca. Piłka leci płasko, miękko. Nie stracił czucia w dłoniach, wprawia go to w uniesienie. Czuję się wyzwolony z długotrwałego mroku. Ale ciało ma ciężkie i oddech krótki, to go złości. Kiedy tych pięciu smarkaczy, których ma przeciw sobie, zaczyna postękiwać i nie nadążać, a jeden z nich, przypadkiem przez niego potrącony, podnosi się z twarzą umorusaną i opuszcza plac, Królik z lekkim sercem kończy grę.

– W porządku – mówi. – Wasz oldboj odchodzi. Trzy razy hurra.

Chłopcu z pomponem rzuca:

– Do zobaczenia, asie.

Czuje wdzięczność dla tego malca, który nie spuszcza z niego oczu pełnych bezinteresownego uwielbienia, gdy inni patrzą spode łba. Takie wrodzone talenty wiedzą, że wszystko jest sprawą wyczucia.

Królik zabiera swoją złożoną marynarkę i rusza biegiem. Biegnie do końca alejki. Mija opuszczoną fabrykę lodu z gnijącymi drewnianymi pochylniami na rampie. Pojemniki na śmieci, drzwi garaży, płyty z drucianej siatki, za nimi jak w klatkach płatanina łożdyg i uschniętych kwiatów. Jest marzec. Miłość rozjaśnia powietrze. Wszystko zaczyna się od nowa; przez kwaśny posmak tytoniu Królik wyczuwa w tym powietrzu nową szansę, wyciąga z wypchanej kieszeni koszuli paczkę papierosów i w biegu rzuca ją do czyjogoś otwartego śmietnika. Błyska na chwilę zębami spod odsłoniętej górnej wargi – odruch zadowolenia z siebie. Dużymi zamszowymi półbutami z głośnym chrzęstem roztrąca grube ziarna żwiru w alejce.

Biegnie. Skręca za rogiem i jest już na ulicy Wilbura w Sędziowskiej Górze, która jest przedmieściem Brewer, piątego co do wielkości miasta Pensylwanii. Biegnie pod górę. Mija blok okazałych kamienic – małych wartowni, z cegły i betonu, o wejściach ozdobionych barwionym i fazowanym szkłem i oknach pełnych doniczek z zielenią. Potem, w połowie drogi pod górę, za następną przecznicą, mija osiedle zbudowane za jednym zamachem w latach trzydziestych. Te drewniane domy wspinają się na wzgórze niby jeden

ciąg schodów. Każdy bliźniak przerasta swego sąsiada o jakieś dwa metry, każde ostatnie piętro ma dwoje matowych okien szeroko rozstawionych, niby oczy jakiegoś zwierzęcia, a dach wyłożony jest płytami – żwir wtopiony w smołę – o odcieniach od siniaka po gnój. Front każdego domu oszalowany jest deskami kiedyś białymi, teraz złazi z nich farba. Takich dwupiętrowych bliźniaków jest tuzin, w każdym po dwoje drzwi. Siódme drzwi są jego. Drewniane stopnie u wejścia zmurszały, pod schodkami, w błotnistym zagłębieniu, rozpada się jakaś zagubiona dziecięca zabawka. Plastikowy pajac. Królik widział go tam przez całą zimę, ale myślał, że któregoś z dzieci przyjdzie w końcu po swoją zgubę.

Ciężko dysząc, przystaje w przedsionku pozbawionym słońca. Nad jego głową pali się zakurzona żarówka –ienne oświetlenie. Trzy blaszane skrzynki na listy wiszą puste nad brązowym kaloryferem. Zamknięte drzwi sąsiada mieszkającego na parterze zdają się patrzeć z głębi przedsionka z jakąś urazą. I ten zapach w powietrzu, zawsze taki sam, którego Królik nie potrafi zidentyfikować – czasem gotowanej kapusty, czasem wyziewów zardzewiałego paleniska, czasem jakiejś zgnilizny w ścianach. Idzie po schodach do swego mieszkania na samej górze.

Drzwi zamknięte. Ręka wsuwająca kluczyk do zamka drży rozdygotana po niecodziennym wysiłku i metal zgrzyta o metal. Otwiera drzwi i widzi żonę przed telewizorem w fotelu, ze szklanką Old Fashioned; dźwięk jest ściszony.

– Jest eś! – mówi. – To dlaczego drzwi zamknięte?

Zerka na niego przez ramię niepewnym spojrzeniem ciemnych oczu zaczerwienionych od oglądania telewizji.

– Same się zatrzasnęły!

– Same się zatrzasnęły! – przedrzeźnia żonę, lecz mimo to pochyla się, żeby ucałować jej błyszczące czoło.

Jest nieduża, drobnej kości, skórę ma o odcieniu oliwkowym i mocno napiętą, jak gdyby wewnątrz tego małego ciała coś bezustannie wzbierało i walczyło z jego ciasnotą. Jeszcze wczoraj, myśli Królik, była ładna. Ale kiedy w kącikach warg pojawiły się dwie krótkie zmarszczki, jej usta stały się chciwe; włosy przerzedły i wciąż każą mu myśleć o ukrytej pod nimi czaszce. Te drobne oznaki upływającego czasu pojawiły się niespostrzeżenie, może jutro znikną i znowu będzie jego dziewczyną. Żartobliwym tonem próbuje przywrócić nastrój przeszłości.

– No i czego się tak boisz? Kto tu może się władować przez te drzwi? Errol Flynn?

Nic nie odpowiada. Starannie rozłożywszy marynarkę, Królik podchodzi do szafy i wyjmuje druciany wieszak. Szafa jest w saloniku i drzwi otwierają się tylko do połowy – przeszkadza stojący obok telewizor. Królik uważa, by nie wyciągnąć sznura z kontaktu po drugiej stronie drzwi. Janice – wyjątkowo niezręczna z powodu swego brzucha albo kiedy się upije – zaplątała kiedyś nogę w ten przewód i o mało nie ściągnęła telewizora na podłogę (sto czterdzieści dolarów); byłby się r o z t r z a s k a ł na drobne kawałki. Szczęściem Królik go dopadł, kiedy się jeszcze chwiał w swojej

metalowej kołysce i zanim Janice w panice zaczęła wierzcąc nogą. Dlaczego się tak zachowała? Czego się bała? Będąc człowiekiem kochającym ład i porządek, zręcznie wsuwa końce wieszaka w rękawy marynarki i wyciągnąwszy długie ramię, wiesz ją na pomalowanej rurce obok innych ubrań. Zastanawia się, czy powinien wyjąć z klapy identyfikator, ale postanawia włożyć nazajutrz ten sam garnitur. Ma je tylko dwa, jeśli nie liczyć granatowego, który jest za ciepły na tę porę roku. Zamyka drzwi szafy. Wydają lekki trzask, lecz po chwili znowu rozchylają się na szerokość kilku centymetrów. Te zatrzaśnięte drzwi domu! To go jątrzy. Ręka mu drżała jak u starca, a ona tu siedzi i spokojnie słucha skrobania klucza w zamku.

Odwraca się do niej i pyta:

- Wróciłaś, a gdzie wóz? Nie ma go przed domem.
- Stoi przed domem mojej matki. Zasłaniasz mi.
- Przed domem twojej matki? Coś wspaniałego!

Zostawić go w takim zafajdanym miejscu.

– Co się tam dzieje?

– Gdzie? – Odsuwa się, żeby jej nie zasłaniać, i też patrzy.

Janice ogląda program muzyczny w wykonaniu Myszkietarów – dziecięcego zespołu, w którym Darlene jest tym razem kwiaciarką w Paryżu, Cubby policjantem, a ten najwyższy, piskliwy i głupio uśmiechnięty chłopiec – romantycznym artystą. On i Darlene, i Cubby, i Karen (przebrana za francuską damę, której Cubby jako policjant pomaga przejść przez ulicę) tańczą. Potem reklama: siedem cząstek czekoladowego batonu wychodzi z opakowania i układa